

Prof. zw. dr hab. Mieczysław Dąbrowski

Recenzja pracy doktorskiej mgr Magdaleny Jaremek pt. *Tożsamość jako problem we współczesnych polskich narracjach o migracji na Wyspy Brytyjskie*, napisanej pod kierunkiem dr hab. Dariusza Skórczewskiego, prof. KUL, Lublin 2023.

Zacznę od osobistego wyznania: na początku lektury pomyślałem sobie: "napisałbym tak samo". Gdy byłem w środku poprawiłem na: "napisałbym to samo, ale inaczej". Gdy dotarłem do końca, powiedziałem: "brzmi za gładko". Dlaczego? - o tym poniżej.

Lecz najpierw komplementy: Praca doktorska mgr Magdaleny Jaremek napisana została dojrzałym, naukowym, a przy tym eleganckim językiem, jest świetnie skomponowana, umiejętnie rozdziela poszczególne wątki refleksji (co ważne w każdej pracy badawczej), trafnie też wykorzystuje literaturę naukową. A przede wszystkim jest najpełniejszym, jak mi się zdaje, opisem literatury migracyjnej. Powstało już wiele tekstów, większych i mniejszych, zajmujących się opisem tej literatury (sam też je pisałem; bibliografia sekundarna liczy 239 pozycji), ale żaden nie obejmuje tak szerokiego spektrum tekstów z tego kręgu (do których czysto fizyczne dotarcie stwarza nierzadko podstawową trudność). Skutecznie poszerzają ten spis antologie.

Praca dzieli się wyraźnie na dwie części: pierwsza jest sprawozdaniem z teoretycznego zaplecza tej problematyki, jest bardzo erudycyjna, wykazująca świetną orientację w materiale naukowym i dobrze go wykorzystująca. To są rozdziały: pierwszy - poświęcony socjologii zjawiska migracji z przywołaniem odpowiednich raportów i liczb, drugi - poświęcony zagadnieniu tożsamości we współczesnej refleksji humanistycznej, problematyka ważna i dla Autorki kluczowa (tytułowa), rozdział trzeci dyskutuje kwestię Ja i Innego, a chodzi głównie o relacje, jakie powstają w spotkaniu polskiego migranta z Brytyjczykami czy Irlandczykami. Różne i bogate aspekty takiego zdarzenia rozpisane zostały na wiele punktów i zajmują bez mała sto stron tekstu; do niektórych wątków tego rozdziału będę się chciał odnieść w części polemicznej. Druga część pracy obejmuje w zasadzie jeden rozdział, czwarty, nazwany *Polak w diasporze* i na stu stronach rozpatruje wybrane teksty polskich migrantów czytając je "blisko" (close reading), uważnie i omawiając na ich podstawie główne zagadnienia Polaka-migranta poakcesyjnego, skupiając się na ich problematyce, stylu i wartości czysto literackiej.

W tym miejscu przechodzę do polemiki. Polemiki, zaznaczam, przyjaznej i merytorycznej, gdyż ten poważny tekst zasługuje na takie potraktowanie. Nie jest to krytyka, tylko raczej dyskusja z tezami i ogólną tonacją opisu. Problem bowiem, każdy problem, jest żywy dopóki wyzwala takie chęci w czytelniku.

Przede wszystkim uważam, że warto zwrócić większą uwagę - i może przed publikacją książkową (bo sądzę, że taka nastąpi) da się jeszcze coś zmienić - na poznawczą wartość tego piśmiennictwa w odniesieniu do samych autorów. Nie jest ono może najwyższych lotów (choć zdarzają się perełki, jak *Przebiegum žyciae* Piotra Czerwińskiego), najczęściej ma charakter socjologiczno-obyczajowy, ale jest przecież nadzwyczajnie istotnym świadectwem intelektualnej kondycji migrantów tej nowej fali. Pani Jaremek pisze obszernie o tych tekstach, przede wszystkim o ich zawartości, lecz nie zwraca uwagi na to, że są one nadzwyczajnym poświadczeniem intelektualnej kondycji ich autorów, świadectwem nie tylko tego, jak się urządzają w obcym środowisku, jak odnajdują swoje ścieżki zawodowe w nowym świecie, lecz że są też poświadczeniem głębokiej autorefleksji. To mi przywodzi na myśl literaturę prozaików z pokolenia 1910, debiutujących w latach trzydziestych: Gombrowicza, Brezę, Andrzejewskiego, Otwinowskiego, Rudnickiego i innych (pisałem o nich w książce *Polska awangarda prozatorska*, 1995), gdzie także chodziło nie tylko o opis swojego środowiska i świata, ale równie silnie o ujawnienie swojego Ja, własnej samoświadomości. Powszechne tam przejście z trzeciej osoby na pierwszą tworzyło zręby zupełnie nowego doświadczenia literatury. To był moment artystycznego przesilenia, przejścia od modelu pozytywistyczno-młodopolskiego do modelu współczesnego i nowoczesnego, gdzie powszechne splata się z osobistym i gdzie autorytetem może być jakieś Ja, a niekoniecznie My. Podobnie jest tutaj, chociaż mowa pierwszoosobowa i prawie otwarty autobiografizm nikogo już nie dziwią, bo te teksty opowiadają bez kamuflażu los własny lub znany po sąsiedzku (model syleptyczny). Z jednej strony mamy więc szczegółowe opisy migracyjnego doświadczenia, z drugiej jednak jest to pisanie o sobie, o własnej świadomości, czym Autorka się nie zajmuje lub zajmuje szczątkowo. Tymczasem sprawa wydaje mi się pierwszorzędna, gdyż pokazuje kondycję psychiczną, intelektualną, literacką i społeczną tych młodych autorów. Warto się temu zagadnieniu przyjrzeć. Chodzi bowiem nie tylko o to, o czym ta proza mówi, lecz także kto ją kształtuje.

Druga uwaga dotyczy kwestii, najogólniej mówiąc, postkolonializmu, w obrębie którego chciałbym rozróżnić kilka aspektów. Chodzi o samo pojęcie postkolonializmu i jego rodzime

rozumienie, po drugie o koncepcję "hegemonu zastępczego", czyli "mitycznego" Zachodu, po trzecie zastosowania tej koncepcji w pracy dzisiejszej doktorantki. Mam tu wiele zastrzeżeń.

Postkolonializm w polskiej literaturze naukowej rozumiany jest według modelu zachodnioeuropejskiego, który dotyczył przecież kolonii afrykańskich i dalekowschodnich (vide: E. Said, *Orientalizm*). W tym też duchu przyjmuje go i stosuje mgr Jaremek. Niedwuznacznie za okres takiego kolonializmu przyjmuje się zabory i PRL. O ile ten pierwszy można, wyłączając Galicję, uznać za przypadek podobny do zachodniego wzorca, gdyż obejmował nie tylko zajęcie terytorium, wprowadzenie swojego władcy jako króla Polski, system prawny, szkolnictwo w języku urzędowym odpowiednio rosyjskim i niemieckim, to okres po II wojnie światowej do 1989 roku takich cech nie posiadał. Władza polityczna może i była jakoś zależna od Moskwy, ale nie zawsze jednakowo się jej poddawała, przede wszystkim odpowiadała przed swoimi obywatelami i ostatecznie, gdy dochodziło do kryzysu gospodarczo-politycznego - ponosiła jego koszty, a często ustępowała. Każdy, kto pamięta te czasy, kto w nich żył, musi sceptycznie odnosić się do uproszczonej, a często zafałszowanej wiedzy na temat PRL. Takie też, niestety, schematyczne stanowisko w sprawie postkolonializmu prezentuje Magdalena Jaremek. Postkolonializm stał się w polskim dyskursie akademickim nie kluczem, lecz wytrychem, który, jak wiadomo, otwiera różne drzwi, ale niekoniecznie prawidłowo. Doktorantka przytacza wprawdzie relatywnie obfitą literaturę naukową i publicystyczną na ten temat, jednak ostatecznie wyznaje: "Pamięć ofiary - byłego skolonizowanego - wraz z piętnującym i pozycjonującym w społeczeństwie przyjmującym pochodzeniem często dyskwalifikują polskich migrantów na zachodnim rynku pracy i rodzą poczucie gorszości w stosunku do autochtonów" (s. 193). Podobne uwagi i sformułowania są częste, ale sprawiają wrażenie powtarzanych "jak za panią matką", choć można by je przy tej okazji oczyścić z intencji ideologicznych. Oczyścić zadając pytanie, dlaczego doświadczenia migracyjne Polaków wyglądają tak, jak są opisywane, czy są jakoś zasadniczo inne niż doświadczenia migrantów z innych rejonów i co ich naprawdę dyskwalifikuje. Trzeba bowiem postawić sprawę jasno: kraje przyjmujące szukają albo wysoko wykwalifikowanych specjalistów albo wykonawców prostych robót, których nie chcą wykonywać autochtoni. Nie potrzebują ludzi z dyplomami wydziałów humanistycznych, bo dla takich nie mają miejsc pracy (a głównie tacy się wypowiadają). Polskie dyplomy uniwersyteckie nikogo tam nie przekonują, bo chodzi o umiejętności, a nie o "papiery". I ludzie, którzy takie umiejętności posiadają (lekarze, architekci, informatycy, operatorzy maszyn, spawacze) taką pracę znajdują niemal od ręki, nie przeszkadza im "postkolonialny

wstyd", jak często tłumaczy te kwestie doktorantka. Przytacza na przykład wypowiedź jednej z takich nieudacznic: "No tak, włóczymy się po świecie naznaczeni piętnem komunizmu. Choć dobrze wykształceni albo nie mamy pracy u siebie, albo jesteśmy źle opłacani lub za starzy. Samo życie[...]" (s.71). Co tu jest "postkolonialnego"? Wyższe wykształcenie świadczy raczej na korzyść PRL, reformy Balcerowicza i brak pracy w Polsce nie były bezpośrednim efektem kolonialnym, jedynie uwagę o pochodzeniu zza żelaznej kurtyny można uznać za słuszną. Lecz tłumaczenie wszystkiego "kolonialną" przeszłością Polski jest nadużyciem, w dodatku łatwym. "Większość migrantów wychowała się w warunkach politycznego zniewolenia, po którym nastąpiła transformacja i erupcja marzeń o "nowym wspaniałym Zachodzie" (s. 73). Obawiam się, że większość migrantów nie zdawała sobie w ogóle sprawy z tego "zniewolenia" żyjąc z dnia na dzień w warunkach, jakie można było stworzyć w swoich wsiach i miasteczkach. Nie ma tu miejsca na szczegółowe analizy, ale wiele zdań i fragmentów dotyczących tego zagadnienia sprawia wrażenie pustych sloganów, za którymi nie kryje się żadne konkretne doświadczenie ani poświadczenie. Weźmy na przykład takie zdanie: "Owa niewspółmierność wynika z nierówności, braku symetrii pomiędzy stronami relacji - w przypadku prozy migracyjnej, na którą patrzę przez pryzmat teorii postkolonialnej, krzywdzące postrzeganie przybyszów przez autochtonów wywołuje u tych pierwszych wstyd" (s. 62). Dlaczego wstyd? To chyba niezbyt trafna kwalifikacja ich odczuć. I skąd bierze się to optymistyczne oczekiwanie, że przybysze będą traktowani jak swoi? Tak nigdy nigdzie nie było i nie będzie, to jest myślenie naiwne, na którym buduje się kolejne piętra nieprzekonującej analizy. Trzeba raczej zadać sobie generalne pytanie, skąd bierze się niechęć autochtonów? Może to powszechne prawo obcości, poza tym nigdzie żaden migrant nie jest natychmiast obsadzany na odpowiedzialnych i lukratywnych stanowiskach (zobaczmy, co robią u nas Ukraińcy, Filipińczycy, Hindusi i inni). Rzec druga, bardzo ważna w tym kontekście, to są stereotypy. Na nie nie ma rady i żadne lamenty nie pomogą: z jednej strony Polacy mają czemuś złą opinię w świecie, z drugiej świat wie o Polsce mało i się nią nie interesuje. Dlaczego? - to odpowiedź na gruby tom. Po trzecie - cywilizacyjne zacofanie, w skład którego wchodzi słabe przygotowanie językowe, nieprzydatny rodzaj wykształcenia itp. I to jest zarzut, który jestem skłonny uznać w tym kontekście za przekonujący: wprowadzenie języka rosyjskiego jako obowiązującego w szkole okazało się mało przydatne, choć przecież można było wybrać drugi nowoczesny język i się go wyuczyć nawet w tym okropnym "kolonialnym", "zniewolonym" kraju (vide: Gustaw¹, Grzegorz z *Global nation* i

¹ Agnieszka Nęcka nazywa ten tekst "prozą lamentacyjną" co się doktorantce nie podoba (mnie również), ale nie bardzo wiadomo, dlaczego traktuje zachowanie Gustawa jako "bunt byłego wschodnioeuropejskiego

in.). Po czwarte wreszcie trzeba wziąć pod uwagę charakter polskich migrantów, ich powszechną ksenofobię i skłonność do wywyższania się ponad inne nacje. Tu należy szukać odpowiedzi na przypadki odrzucenia, a nie w wymaginowanych postkolonialnych obciążeniach. W kontekście tożsamości postkolonialnej doktorantka pisze: "W niektórych tekstach tożsamość ta dochodzi do głosu w postaci narracji retrospektywnej, artykułującej narodowe kompleksy" (s. 62). Narodowe kompleksy to jest m.in. to, co przed chwilą nazwałem, lecz to ma mało wspólnego z rzekomo kolonialną przeszłością. Widzę inne rozwiązanie: przy rozpatrywaniu trudności, jakie ma polski migrant, trzeba zwrócić baczniejszą uwagę na to, co bym nazwał kolonializmem wewnętrznym, sprowadzającym się do monopartyjności, patriarchy, ksenofobii, braku prawdziwej demokracji, silnej hierarchizacji społeczeństwa, kiepskiej szkoły, władzy i funkcji Kościoła katolickiego itp.

Rzecz następna, to stosunek obywateli do tej obcej dominacji. Kraje azjatyckie czy afrykańskie często bez oporów przyjmowały język, normy społeczne i obyczaje obcego hegemonu (np. gra w polo w Indiach, czy język francuski czarnoskórych mieszkańców Afryki, a zwłaszcza krajów Maghrebu, vide: J. Derrida). W Polsce takiego zjawiska nie było; nawet w okresie zaborów kultura rosyjska, może w mniejszym stopniu pruska, były zdecydowanie odrzucane, niemal każde pokolenie zaznaczyło swoją niechęć zbrojnym buntem, literatura polska w każdym z tych okresów miała się znakomicie mimo rozmaitych restrykcji i utrudnień. To samo powtórzyło się po 1945 roku. Jak zatem można się posługiwać z pełnym przekonaniem zachodnim pojęciem postkolonializmu, skoro nawet powierzchowna refleksja odkrywa takie niezgodności? Polska akademia rozwinęła (moim zdaniem) nieodpowiedzialną, bo nieprawdziwą koncepcję postzależności, według której na siłę próbuje czytać polską literaturę powojenną jako literaturę uzależnioną od kultury i polityki rosyjskiej wychodząc zresztą od anachronicznego, "twardego" i zamkniętego rozumienia zjawisk kulturowych, co wydaje się już modelem naprawdę spóźnionym. Owszem, było paru licencjonowanych pisarzy proradzieckich, lecz ich teksty nie były poważnie traktowane, a najbardziej z nich utalentowany Wojciech Żukrowski w dniach stanu wojennego zastawał przed drzwiami mieszkania własne książki, które mu czytelnicy odnosili. Szukanie w całej powojennej literaturze polskiej tych zależności jest zdecydowanym nadużyciem. Zabawne, ale takie postępowanie dobrze współbrzmi z wypowiedziami oficjalnych czynników

skolonizowanego wobec zastanego porządku świata"? (s.147). Jeśli wziąć pod uwagę ślad mickiewiczowski, to ta walka z "zastanym porządkiem świata" się tłumaczy, ale kontekst *hic et nunc* tu nie pasuje. Gustaw był raczej beniaminkiem systemu, już nowego, mimo wychowania w "sowieckiej kolonii" (s. 192) dopóki niefortunne zdarzenia z rodzinnego i zawodowego życia nie wyrzuciły go na irlandzki margines.

rządowych, których obsesyjna i jawna antyrosyjskość zaczyna budzić w świecie poważne obawy.

"Hegemon zastępczy" - przywołuję to pojęcie za doktorantką, chociaż nie jestem do niego przekonany. Głównie z tego względu, że ufundowane jest na podstawach psychologii głębi, a nie wydaje mi się, żeby masy kierujące swoje kroki na Zachód zdawały sobie sprawę z tego mechanizmu. Powszechny mechanizm był znacznie prostszy: chcemy lepszego życia! A Zachód takie życie obiecywał. Słynne hasło Tadeusza Mazowieckiego "Wracamy do Europy!" znaczyło dla tamtej formacji (i jego osobiście) zwrot w kierunku Europy chrześcijańskiej i Europy demokratycznego prawa. A w wymiarze praktycznym - zerwanie z Moskwą na rzecz, powiedzmy, Paryża i Berlina. Więc znowu: od jednego brzegu do drugiego. Nie, aby stworzyć coś własnego, wypracować jakąś koncepcję istnienia w Europie, tylko wejście w bliższe relacje z Zachodem. Stamtąd zresztą przyszły zaraz pomysły, pieniądze, technologie, doradztwo ekonomiczno-społeczne, które zmieniły Polskę. Szukanie jakiegoś hegemonu to stała potrzeba polskiej racji, która nie była i tym bardziej nie jest dzisiaj w stanie wytworzyć świadomości własnej, opartej na sumiennej i krytycznej analizie polskiego doświadczenia historycznego. Moim zdaniem nie ma powodu, aby się cieszyć z wynalezienia owego "hegemonu zastępczego", choć uniwersytetowi taki koncept mógł się spodobać. Od dawna przy różnych okazjach piszę, że świadomość polska jest słaba i czepia się stale a to opcji wschodniej, a to zachodniej (ostatnio amerykańskiej) miast wypracować dla siebie jakąś formę świadomości osobnej. Ponieważ jest to przypadek wszystkich krajów postkomunistycznych, można by pomyśleć trzecią formację kulturową, nawiązać do znanej Mitteleuropy, która by odpowiedziała na takie polityczno-świadomościowe zapotrzebowanie krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Jest to tym bardziej uzasadnione, że Zachód, a raczej wyhodowany u nas mit Zachodu, prysł wraz z falą także polskich migrantów zalewających w ostatnich dekadach te kraje.

Jaki użytek robi z tych pojęć Magdalena Jaremek?

Przede wszystkim, jak już zaznaczyłem, używa tych pojęć dość bezrefleksyjnie i według obiegowego rozumienia. Wiele aspektów literatury migracyjnej tłumaczy tymi pojęciami nie bacząc na to, że wpada w sieci wytworzone na ich podstawie. Oto bowiem pewien rodzaj nieudacznictwa, skarg na trudny los migranta gotowa jest zawsze tłumaczyć doświadczeniem rosyjskiego kolonializmu, który z młodych ludzi uczynił jakoby ofiary życia, nie dające sobie rady na zachodnim (tu brytyjsko-irlandzkim) rynku pracy (choć nie bardzo wiadomo,

dlaczego; pomijam już fakt, że połowa z nich nawet nie zaznała smaku życia w PRL). Ale, o dziwo, obok ukazuje szereg kobiet (vide: podrozdział *Self-made woman*), które dają sobie na tym rynku świetnie radę, mają poczucie sukcesu, chwalą sobie zmianę losu itd. Więc jak to: czyżby one nie doświadczyły kolonialnej opresji? Czyżby żyły w innym kraju, w innych środowiskach, w innych warunkach społeczno-ekonomicznych? Spod jakiego parasola wyszły i kto je nad nimi trzymał? Czyżby syndrom "kolonialnego wstydu i upokorzenia" działał wybiórczo i dotykał tylko niektórych? "Nomadzi-kosmopolici nie są postkolonialnie obciążeni, jak ci, którzy reprezentują typ postkolonialnego upokorzonego. Jeśli zaś nawet mają świadomość trudności wynikających z pochodzenia, radzą sobie z tym i nie ulegają negatywnym stereotypom" (s. 212). Tym zdaniem doktorantka sama rozbraja ten postkolonialny kapiszon. Bowiem kolonializm działa totalnie i albo jest i dotyka każdego, albo go nie ma i nie dotyka nikogo. Tu ominął, jak czytamy, dzielne kobiety i nowoczesnych nomadów. Trzeba przyznać, że ta sytuacja jest dość humorystyczna. Ale skoro tak jest, to czym tłumaczyć te różnice? Przecież nie tym chyba, że niektórzy mężczyźni jakoś szczególnie silnie, boleśniej odczuwali kolonialną opresję niż kobiety? Traktowanie ich wszystkich jako męczenników kolonializmu jest przesadą, ponieważ, zakładam, trzy czwarte z nich to byli prości ludzie ze wsi i małych miasteczek (podobno wyjeżdżało głównie Podlasie i Podkarpacie), którzy raczej nie zgłębiali historyczno-politycznych przyczyn swojej biedy. Po prostu ją odczuwali, a chcieli lepiej żyć, liczyli na dobrze płatną pracę, więc wyjeżdżali. Prosty i sprawdzony mechanizm.

Podobnie jak kobiety, w tym nowym świecie łatwo się odnajdują osoby, które doktorantka nazywa nomadycznymi. Co je charakteryzuje, to przede wszystkim przyzwyczajenie do znajomości języka angielskiego, co bardzo ułatwia życie i kontakty, otwartość na innych, pragnienie poznania i uczenia się nowych rzeczy, znajomość światowej popkultury, gdyż ta ułatwia im odnalezienie się w kręgu podobnych osób. To przykłady z powieści Grzegorza Kopaczewskiego *Global nation. Obrazki z czasów popkultury*. Ten wątek z kolei każe myśleć o polskiej ksenofobii, zamknięciu na Innych i inność, odrzucanie z góry obcości jako gorszej. W świetle powyższego trzeba by ostrożniej, a zarazem subtelniej formułować opinie na temat tej nowej migracji nie uciekając się do haseł i ideologii, które się łatwo akceptuje, gdyż gloryfikują to, jacy i kim jesteśmy. Bycie migrantem uwydatnia te cechy zgodnie z powszechną obserwacją, że znalezienie się w obcym środowisku wzmaga zachowania i przekonania wyniesione z domu. Ta jedna czwarta, założmy, to byli ludzie wykształceni humanistycznie, lepiej może orientujący się w realiach polityczno-ekonomicznych

współczesnego świata i to oni formułują, niejako w imieniu wszystkich, te "gorzkie żale" migracyjne, które doktorantka uznaje za powszechne. Za Kosmalską trafnie wyróżnia świadomość nacjonalistyczną i nomadyczną, ale uzupełnia je o postkolonialną, która dominuje tamte i staje się niejako najważniejszym tłem dla całej analizy. Trzeba zauważyć, że to, na co narzekają (w imieniu całej migracji) "upokorzeni postkolonialni", to różnica kulturowa między krajami, środowiskami i miejscami, do których trafili a ich odpowiednikami w Polsce. Sami raczej mało piszą o kolonialnej opresji, piszą głównie o "gównianym" narodzie, który nie nadaża za postępem w świecie, za cywilizacyjnymi zmianami. Ta różnica to między innymi inne podejście do odpowiedzialności za swoje życie, odmienny stosunek do pracy, inna opieka socjalna, kształcenie itp. Warunki kapitalistycznego Zachodu uczą ludzi od początku, że nikt im nic za darmo nie da, że - o ile jakaś choroba czy wypadek nie wyeliminują ich z życia społecznego i nie skazą na opiekę odpowiednich służb - to muszą swój dobrobyt wypracowywać każdego dnia. Takiej szkoły życia nie przeszli polscy migranci, korzystający jednak z zupełnie przyzwoitego (na tle Zachodu) systemu zabezpieczenia socjalnego, darmowego szkolnictwa, lecznictwa, długich płatnych urlopów, praw pracowniczych itp. Tu być może trzeba szukać przyczyn tego niezadowolenia i niedostosowania do warunków, jakie narzuca i wymusza społeczeństwo kapitalistyczne. Poczucie gorszości i wstydu, które rzekomo mają być bezpośrednim rezultatem kolonialnej zależności i charakteryzować postkolonialnego bohatera wynikają nie z jakiejś abstrakcji, tylko z odczuwalnej gorszości miejsca z którego wyszli: gorszego mieszkalnictwa, wyboistych i niebezpiecznych dróg, kiepsko zorganizowanego transportu, marnych samochodów, nieodpowiedniego przygotowania językowego, ogólnego zapóźnienia cywilizacyjnego, a najogólniej mówiąc - polskiej biedy. Pisała o tym Danuta Mostwin wskazując, że emigracja posolidarnościowa przywiozła ze sobą najgorsze cechy ze wszystkich fal emigracyjnych, mianowicie roszczeniowość i tzw. życiowy spryt², który u nas uchodzi za cnotę, lecz w krajach kapitalistycznych nie jest akceptowany. Polscy migranci znaleźli się nagle w warunkach pracy i życia diametralnie różnych od tego, co znali i czego doświadczali w Polsce. Kiedy już przetrwają ten chrzest i odnajdą się w nowym systemie, mogą powiedzieć, że żyje im się lepiej, że ten system jest uczciwszy niż polski, gdyż premiuje pracowitość, inteligencję i zaradność, których akurat Polakom, poza wyjątkami, nie można odmówić. Rzecz jednak w tym, że teksty, o których mówimy, są zazwyczaj zapisem

² Por. D. Mostwin, *Emigranci polscy w USA*, Lublin 1991; dokładniej referuję jej stanowisko w książce M. Dąbrowski, *Tekst międzykulturowy*, Warszawa 2016, s. 71 i nast.

trudnych początków, które najbardziej dają się we znaki, stąd tyle drastycznych opisów i ogólnie ich lamentacyjna tonacja.

I jeszcze taki szczegół: W wielu miejscach mowa jest o ludziach, którym nie udało się osiągnąć pożądanego stanu dobrobytu i stabilizacji w zachodnim świecie, żyją na marginesie zarówno polskiego, jak i autochtonicznego środowiska, często pod przysłowiowym "mostem", a mimo to ślą do rodzin raporty o rzekomym dobrobycie, jakiego doświadczają. Wstydzą się przyznać przed bliskimi, że nie sprościli zadaniu. Zawsze wtedy przypominała mi się szemrana postać Pchełki ze sztuki Janusza Głowackiego *Antygona w Nowym Jorku*, czy podobne postaci z powieści *Szczuropolacy* Edwarda Redlińskiego, które nigdzie w tej pracy nie są nawet wzmiankowane. Wydaje mi się, że na miejscu byłoby ich przywołanie, gdyż ta socjologiczno-psychologiczna obserwacja ma swoje wcześniejsze stadia i przykłady (nawet jeśli wyrażone w innym niż powieść czy opowiadanie sposobie).

To, co powyżej przedstawiłem w trybie polemiki nie obniża w jakiś zasadniczy sposób wartości całej pracy. Jest ona rezultatem rzetelnego i uczciwego przygotowania, staranności w rozpatrywaniu większych i mniejszych problemów przy zachowaniu spokojnego i eleganckiego stylu, który poradził sobie nawet z cokolwiek ordynarnymi fragmentami cytowanych tekstów. Jednak w niektórych partiach praca ta idzie (wracam tu do pierwszego zdania recenzji) utartymi szlakami myślowymi. Autorka nie zadała sobie trudu, aby skrupulatniej zanalizować pewne kategorie i aspekty, postawić dodatkowe pytania, które prowokuje dynamika zjawiska, oswojenie niektórych kwestii obok spraw nowych, aspektów, których dawniej się nie widziało. To jest problematyka żywa, posługiwanie się na przykład kategorią postkolonializmu w odniesieniu do polskich doświadczeń historycznych i świeżej literatury migracyjnej bez postawienia jej w krytycznym świetle wydaje się sporym niedostatkiem. Może warto przed publikacją doktoratu poszerzyć nieco krąg pytań, postawić nowe, bardziej zaczepne, odpowiedzi na które nie dadzą się sprowadzić do powtarzania znanych, a często zbyt ideologicznie i politycznie nacechowanych, rozpoznań.

Konkluzja: praca doktorska mgr Magdaleny Jaremek pt. *Tożsamość jako problem we współczesnych polskich narracjach o migracji na Wyspy Brytyjskie*, napisana pod kierunkiem dr hab. Dariusza Skórczewskiego, prof. KUL spełnia warunki opisane Ustawą i pozwala na dopuszczenie Doktorantki do dalszych etapów postępowania doktorskiego.

Prof. zw. dr hab. Mieczysław Dąbrowski, Stanisławów, 25 maja 2023 roku.

